

Adam Wiaryga-Minieski.

# MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

Laleczkowata panienska przyjmowała każde powiedzenie Władkowe – bez względu na to, czy było ono mniej lub więcej dowcipne – parsknieniem śmiechu, przyczem przystaniała sobie wypieszczoną rączką usta i powtarzała napół zachwycona, napół zawstydzona:

– Ach! Co też pan mówił...

Panna Żarnicka natomiast reagowała bardzo słabo na wszystkie grzeczności i „bons mots” rozmownego młodzieńca i niekiedy tylko jej anemiczne wargi zaginały się lekko w przymusowym, konwencyonalnym uśmiechu.

Widocznie rakiety dowcipu, wyrzucane co chwila przez Koszczyca, nie olśniewały jej wcale.

Wogóle zdawała się być więcej chłodną, sztywną, przygastą, niż kiedykolwiek. Siedziała wyprostowana, nie opierając się plecami o poręcz krzesła. Powieki tak nisko opuściła na oczy, że długie rzęsy rzucały cień na białe policzki i nie pozwalały zaobserwować, że chłodny spokój dziewczyny jest tylko pozorny.

Lola przysła tutaj wesółą, ładną, ożywioną. Błyszczącymi jak dyamenty oczyma poszukała zaraz kogoś i znalazła go.

Łuniewski pospieszył na powitanie pań Żarnickich, co w zgromadzonem u pani Kasztalińskiej towarzystwie dało powód do znaczących spojrzeń, domyślnych uśmiechów i nawet do cichutkich uwag na temat: „Żarnickie łapią kawalera...”

– Mamo – szepnęła piegowata Micia Kożuchowska do ucha swojej rodzicielce – jak ta Lola patrzy się na niego... To przecież wstyd, tak się wyraźnie narzucać...

– Włosy mi na dłoni wyrosną, jeżeli on się da złapać – odszepnęła równie cicho matka, a jednak w jej nadmiernie ściągniętym gorsetem łonie serce zakolało obawą: „a nuż się da złapać?!” Mężczyźni są głupi... Żarnicka chytra, a Lola ma posag... Ach! Gdyby Micia miała posag...”

Tymczasem Łuniewski, po wymianie zwykłych frazesów powitalnych, zapytał:

– Panie same?... Pani Konradowa przyjdzie zapewne później?

Sznury jedwabnego „pompaðurka” drgnęły w ręce Loli.

– Nie, synowa nie przyjdzie wcale – przecięła kwestyę krótko pani Żarnicka, a spojrzenie jej mówiło wyraźnie, że nie życzy sobie dalszych na ten temat pytań.

Zwróciła się teraz do pani Kożuchowskiej, która ją witała bardzo głośno i bardzo serdecznie.

Za matką pospieszyła Micia i nadstawiła Loli do pocałunku swoją piegowatą, silnie upudrowaną buzię.

Jedna jeszcze osoba i to najważniejsza w całym zebraniu, gospodyni domu, prezesowa Kasztalińska, zainteresowała się nieobecnością młodszej pani Żarnickiej.

– Droga pani, czemuż to synowa nie przysła?... Chętnie poznałibyśmy ją i do naszej pracy wciągnęli...

– Głowa ją boli i dlatego wołała pozostać w domu...

– Tak?... – zdziwiła się prezesowa swoim zwyczajem zupełnie bezceremonialnie. – Patrzcie państwo! Widziałam ją dzisiaj rano na ulicy... Wyglądała tak zdrowo i świeżo... Trzeba jej było dać proszek aspiryny i po bólu głowy. Jakby ręką odjął...

Wąskie wargi Żarnickiej drgnęły zniecierpliwieniem, ale nie odpowiedziała nic i spokojnie witała się ze wszystkimi.

Łuniewski podał paniom Żarnickim krzesła, przedstawił im swego kolegę, obecnie także urzędnika w Centrali, Władka Koszczyca i, przystanawszy za krzesłem Loli, zaczął obojętną rozmowę.

O Józii nie wspomniał już ani słowem, ale wesółość Loli zgasała. Nie uszedł jej uwagi ten cień rozczarowania, jaki przeniknął po twarzy Łuniewskiego.

Kiedy wszyscy usiedli i w sali zrobiło się cicho, prezesowa zabrała znowu głos.

– Na sekretarki proszę...

„Lorgnon” podskoczyło do góry.

– Panią Żarnicką i panią Kożuchowską.

Zafalowały, zakolysały się bujne kształty pani Kożuchowskiej jak gdyby rozsądzić chciały twardy pancerz sznurówki, żywy rumieniec przebił się przez grubą warstwę pudru, a oczy zajaśniały tryumfująco.

Pani Kożuchowska rzuciła spojrzenie na salę, aby się przekonać, czy stała jej przeciwniczka, pani Figurska, ma dostatecznie „speszoną” minę i popłynęła w stronę przydyłanego stołu z głośnym szumem „taftowej” halki.

Na twarzy pani Żarnickiej nie odbiło się żadne wrażenie. Spokojnie wstała, przeszła przez pokój wyniosła, zgrabna, elegancka, korzystnie wyróżniająca się dystynkcyą ruchów i ubrania, i, nie spiesząc się, zajęła swoje miejsce koło prezesowej.

– Zanim przedłożonym zostanie porządek dzienny – podjęła pani Kasztalińska – pozwolę sobie w imieniu „Komitetu przedsięwzięć” i „Sekcji opieki” i całego zebranego tutaj grona złożyć serdeczne podziękowanie panu Alfredowi Potyrowskiemu za hojną ofiarę, przesłaną na moje ręce. Pan Potyrowski ofiarował na cele dobroczynne naszego komitetu: koron dwieście...

– Aaa! – rozszedł się po sali szmer podziwu i uznania.

Wszystkie oczy zwróciły się ku panu Potyrowskiemu, który, jaśniejąc sztywnym, śnieżnobiałym gorsem koszuli, pochylił swoją pięknie ufryzowaną, lysiejącą głowę w ten sposób, jakby się czuł bardzo zakłopotanym i zmieszanym tem publicznem podziękowaniem.

– Pani prezesowa – wyrzekł słodziutkim tonem – raczyła zapomnieć, że ja prosiłem... że pragnąłem bezimiennie...

– Istotnie? Nie przypominam sobie, żeby pan o tem mówił... Musiałam nie dosłyszeć albo zapomnieć, zresztą, co to znaczy bezimiennie?... Poco piękny uczynek chować pod korcem... Owszem, niech wszyscy wiedzą, naśladowaj!

Na te słowa poruszyło się niespokojnie kilka osób, które słusznie, czy niesłusznie, wzmiankę o naśladowaniu zrozumiały jako przymówkę do siebie.

– Proszę pani prezesowej, kto to jest właściwie ten pan Potyrowski? – zapytała pani Kożuchowska szepem przewodniczącą.

– Bardzo bogaty człowiek... Zakłada w Łykowie jakieś biuro.

– Czy on żonaty?

– Nie, zdaje się, że kawaler.

Oczy pani Kożuchowskiej rozbiegały się, oceniły wartość grubego złotego łańcuszka, polyskującego na czarnej kamizelce pana Potyrowskiego, olśniły się snopami tęczyowych światel, tryskających z brylantowego pierścionka i ze szpilki w krawacie i z zadowoleniem skonstatowały, że panna Micia zdołała już nawiązać z interesującym kawalerem rozmowę.

O! Ta Micia, to mądra dziewczyna!

– Co to za figura ten pan Potyrowski? – zagadnął cicho Łuniewski Lolę. – Czy to stały mieszkaniec Łykowa?

– Nie, on dopiero niedawno przyjechał. Ale dlaczego pan go nazywa figurą?

– Bo to najodpowiedniejsze dla niego określenie. Mnie się zdaje, że ja tego pana gdzieś kiedyś widziałem... Coś mi się tak, jak przez mgłę, majaczy...

– Pan Potyrowski wynajął mieszkanie w naszym domu... Otwiera tutaj biuro handlowo-komisowe...

– Tak? A czem on będzie handlował i czym jest komisantem?

– Skądże ja wiedzieć mogę? – Lola utkwiała ze zdziwieniem swoje ciemne oczy w twarz Łuniewskiego.

– Julku – wmieszał się do rozmowy Koszczyk, przechylając się przez poręcz krzesła ku koledze – nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, ale coś mi się tak „ochapia”, że ten pan Potyrowski to podobny jest, wiesz, do tego... co wtedy, jakśmy byli świeżo upieczonymi „frycami” po maturze... Pamiętasz tę awanturę przy kartach u Grünapfla...

– Pamiętam... i właśnie to samo zrobiłem spostrzeżenie.

– Tylko, że tamten był młodszy, miał bokobrody i dużą brodę... no i to był jakiś obdartus...

– Bagatel!... Młodszy... Jedenaście lat temu! A zarosł można zgolić u każdego fryzjera i u każdego krawca kupić ubranie...

– Najpewniej mylimy się... O! Tak przy-

padkowe może podobieństwo... Gdzieżby to ten sam mógł być...

– Nie wiem.

Lola zasłyszawsza coś z rozmowy kolegów i zaniepokoiła się trochę, bo przypomniały się jej ostrzeżenia Józii. Trzeba będzie jednak matce powiedzieć...

– Proszę państwa o ciszę! – prezesowa znowu targnęła dzwonkiem. – Przystępujemy do czytania porządku dziennego: pierwszy punkt: Wybór skarbnika, drugi: „Dzień kwiatka”, trzeci: Żywe obrazy, czwarty: Wnioski i interpelacje. Otwieram dyskusję nad ułożeniem porządku dziennego. Czy prosi kto o głos?

– Ja proszę o głos.

– Pan Adamski ma głos.

– Proponuję przyjęcie porządku dziennego przez aklamacyę. Proszę o poddanie mojego wniosku pod głosowanie.

– Zgłoszono wniosek o aklamacyę. Kto jest przeciw aklamacyi? – pytała Kasztalińska, przekonana, że to zapytanie jest li tylko formalnością. Dwie ręce podniosły się jednak przeciw aklamacyi.

To pani Figurska objawiała swoje niezadowolone z tego powodu, że Kożuchowską powołano na godność sekretarki. Prócz niej aklamacyi sprzeciwiała się młoda kobieta w popielatej sukni, ze ściągłą, bladą twarzą i niedużemi, bardzo bystreimi, czarnemi oczami.

– Naturalnie, Tyssowska – mruknęła prezesowa, rzucając złe spojrzenie na kobietę w popielatej sukni i głośno rzekła:

– Wniosek o aklamacyę upadł... Dyskusya otwarta... kto prosi o głos?

– Ja.

– Pani doktorowa Tyssowska ma głos.

Doktorowa podniosła się, oparła szczupłe ręce na poręcz krzesła i zaczęła:

– Chciałam zapytać panią przewodniczącą, co znaczy trzeci punkt porządku dziennego: „Żywe obrazy”? W zaproszeniach była mowa tylko o „Dniu kwiatka”.

Prezesowa przyjrzała się doktorowej przez swoje szkła w sposób zupełnie impertynencki, co jednakże zdawało się na młodej kobiecie nie robić żadnego wrażenia.

– Żywe obrazy zakończą „dzień kwiatka” – odparła Kasztalińska – i przyczynią się do zwiększenia dochodów.

– Mojem zdaniem, żywe obrazy są zbyt cenne, bo przyczynią się raczej do wydatnego zwiększenia rozchodów, które pewnie i tak będą niemałe. Może to być miła rozrywka, ale w obecnych czasach można się bez niej śmiało obejść i nawet trzeba. Jeżeli ktoś chce się koniecznie bawić, to niech sobie to urządza prywatnie, a nie pod firmą instytucji humanitarnej. Dlatego też stawiam wniosek o skreślenie z porządku dziennego trzeciego punktu.

Kasztalińska poczerwieniała, jakby jej kto wylał wrzące wody na twarz i syknęła ze złością:

– Pani doktorowa zawsze oponuje i zawsze poucza... Otwieram dyskusję nad wnioskiem.

Do dyskusji nikt się nie zgłosił, przystąpiono do głosowania i wniosek Tyssowskiej upadł olbrzymią większością.

Mamy i panny nie pozwoliły sobie odebrać takiej okazji, jak „żywe obrazy”.

Prezesowa z tryumfem popatrzyła na Tyssowską. Doktorowa znana była jako opozycjonistka, która ma zawsze jakieś swoje „ale”, najczęściej, niestety, bardzo trzeźwe i trafne.

Mimo to wszelkie wnioski i projekty doktorowej upadały, a matadorki łykowskiej dobroczynności, z Kasztalińską na czele, znosiły ją tylko ze względu na stanowisko jej męża, bardzo wziętego lekarza.

Porządek dzienny uchwalono w całości i przystąpiono do dalszych obrad.

– Przystępujemy do wyboru skarbnika. Proszę podawać kandydatów.

– Pan Potyrowski... – ozwał się kilka głosów.

Kasztalińska skinęła głową z uznaniem. Co prawda, użyła ona jeszcze poprzednio swego wpływu, aby wysunąć kandydaturę hojnego ofiarodawcy.

– Czy pan Potyrowski przyjmie kandydaturę?...

Kandydat zrobił minę skromnej, a uznanej wielkości.

– Wprawdzie nawał pracy... ale tak szlachetny cel... i jeżeli łaskawi państwo sobie życzą... to przyjmuję.

– Proszę zgłaszać inne kandydatury.